Nr. 34. We Lwowie dnia 26. sierpnia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Pokój i rozbrojenie

(krytyczne zestawienie odpowiedzi, nadesłanych z wszelkich cywilizowanych krajów przez Gustawa Björklunda. Przekład K. J. R. Poznań 1895).

Dowodem to już bardzo silnego zakorzenienia się zła, jeśli tych, co chcą zmiany i naprawy, uważa się za szlachetnych, ale niepraktycznych marzycieli. A takiem właśnie mianem obdarza się zwykle ludzi, którzy w obecnych czasach rozpanoszenia się militaryzmu, odważają się głosić rozbrojenie i podnoszą propagandę pokoju. Przywykliśmy już tak do tego, że ci sami ministrowie, którzy sami siebie pasują niemal na arcykapłanów pokoju, równocześnie żądają miljonowych, a coraz to nowych wydatków na wojenne uzbrojenia, a w parlamentach, ci sami posłowie, którzy wymownie przemawiali o korzyściach rozbrojenia, zgodnie i jednogłośnie uchwalają te wydatki, iż już nawet końca tego przewidzieć nie można a w pamięci naszej zapewnienia pokojowe z nałogu już łączą się z pojęciem groźby nowych ciężarów.

Wobec tego »przyjaciele pokoju« zadowoleni jeszcze powinni się czuć, jeśli im się dostanie miano tylko »niepraktycznych«!

Czy jednak sąd ten słusznie ich spotyka? Czy praktycznemu to tylko nazwać wypada, co na najbliższą metę jest obliczonem? Głos ich wszakże to pierwsze objawy ujawnienia na zewnątrz i uświadomienia tego, co całe narody czują? a wiemy, że uświadomienie jakiejś idei to dźwignia silniejsza nieraz, niż rewolucje. Bo z chwilą, kiedy cały naród świadomie i z wolą odwróci się od jakiegoś celu, ci coby zechcieli przedstawiać rząd przeciw narodowi, znikną zalani falą.

Lecz właśnie rozbudzenie tej jednomyślnej świadomości, jest największą trudnością chociaż nie niepodobieństwem; a co do działalności »przyjaciół pokoju«, dość już szeroko rozpościerających swą sieć po cywilizowanych krajach, urządzających ankiety, zjazdy, kongresy, wydających własne pisma, to nie da się zaprzeczyć, że w ostatnich czasach zrobiła ona krok ku prawdopodobieństwu osiągnięcia celu. Jest nim żywszy oddźwięk, jaki w opinji publicznej poczyna budzić ich agitacja i przyśpieszone jej tempo.

Jednym z jej aktów w ostatnich czasach był konkurs, rozpisany przez sztokholmskie »Stowarzyszenie pokoju i sądów rozjemczych«, za inicjatywą p. Gustawa Björklunda na temat: »Jak można w najwłaściwszy sposób wywołać silny międzynarodowy prąd przeciwko dzisiejszemu militaryzmowi?« Plon konkursu p. Björklund zebrał w osobną książeczkę, którą przełożono na różne języki. Przedmowa wydawcy rzuca kilka jaskrawych poglądów na skutki obecnego pokoju zbrojnego, a środki i sposób propagandy rozbrojenia, podaje przedewszystkiem nagrodzona rozprawa p. Ryszarda Reutera.

Że ciężary wojskowe wpijają się nam jarzmem w szyję, że wojsko unieruchomia olbrzymie masy rąk przydatnych do pracy, o tem wszyscy wiemy, ale p. Gustaw Björklund, spróbował jako tako dokładnie określić te straty i przyszedł do nie nowego zresztą przekonania, że »wojna« i »pokój zbrojny«, to właściwie jedna i ta sama choroba, tylko jedno w formie gwałtownej, a drugie w chronicznej. Ciekawem jest natomiast obliczenie, jakie straty w ludziach, przynosi pokój zbrojny. Autor oznacza je cyfrą trzy razy większą, niż liczba stałego wojska, a przyznać trzeba, że obliczenie to jest zręcznie pomyślane i bardzo jaskrawe. Po pierwsze bowiem, jak pisze p. Björklund — jeśliby wojska nie było, to te zasoby, które dziś idą na jego utrzymanie, wyżywiłyby równy wojsku zastęp ludności, która dziś dla braku środków, mrze z głodu lub emigruje. To jedna część zysku. Ci co dziś należą do wojska, niemal bez wyjątku ludzie pracy, sami by zarobili na życie dla siebie, lecz nie dość na tem, jak statystyka bowiem uczy, dostarczyliby środków do życia równej sobie liczbie ludzi. Mamy więc już zysk w ludziach, ze zniesienia armji, równający się dwukrotnie wziętej cyfrze żołnierzy. Ale i tu nie koniec: z owej cyfry ludzi, którzy w ten sposób zyskaliby środki do życia

i stanowiliby przyrost ludności, przecież nie wszyscy próżnowaliby, a gdyby tylko połowa z nich zajęła się pracą, dałaby możność życia zastępowi ludności równemu armji. Cały więc zysk w ludziach z rozbrojenia — zdaniem p. Björklunda — równa się potrójnie wziętej liczbie stałego wojska, czyli tyle wynoszą straty z pokoju zbrojnego, straty przewyższające ubytek ludności wskutek najbardziej morderczych wojen, bo gdzież widziano taką wojnę, w którejby się armje przeciwnych państw trzy razy raz po raz wymordowały?

I to wszystko robi się dla osłony wolności na zewnątrz, ale środek tj. olbrzymie armje, utrzymywane podczas pokoju, niweczą cel. »Niewola wciska się przez tę samą bramę, którą obwarować miano« — wszyscy bowiem wiemy, jakim wrogiem i hamulcem wolności jest militaryzm.

Tak charakteryzuje p. Björklund zło, przeciw któremu środki zaradcze podaje nagrodzona rozprawa p. Reutera. Autor kładzie w niej nacisk na potrzebę jednozgodnej agitacji we wszystkich państwach, a więc międzynarodowej organizacji pokojowej, któraby tę jednozgodność wytwarzała. Agitacja zaś owa ma zdążać ku trzem celom. Po pierwsze wciągnąć w swój prąd masy ludowe, przekonać je o potrzebie rozbrojenia i głośnego wypowiadania tego przekonania, powtóre kwestję pokoju stawiać nieustannie, równocześnie i równobrzmiąco na porządku dziennym wszystkich parlamentów, wreszcie wpłynąć na rządy, aby ze swej strony podjęły inicjatywę. Ponieważ początek szalonemu zbrojeniu się całego świata dała francuska chęć odwetu na Niemczech, dlatego właściwie inicjatywa należałaby się tu rządowi francuskiemu, ale opinja we Francji jest tego rodzaju, iż spodziewać się czegoś podobnego nie można. Pozostaje więc tylko, aby Niemcy tę akcję objęły, a chociażby je spotkała pogardliwa zrazu odmowa Francji, poparte sympatją wszystkich mocarstw musiałyby wreszcie dopiąć celu.

To jest istotnie poważne »*memento*«, które już nieraz musiało stawać przed oczami rządów z przestrogą, iż to jedyna droga, jeśli rozwiązania fatalnego węzła niema dokonać mordercza wojna lub równie mordercza rewolucja. W tem też przyczyna dlaczego »przyjaciół pokoju«, podnoszących owo *memento*, nie powinien lekceważyć nikt, a najmniej już rządy. Owszem rządów interesem jest wpoić przekonanie, że dążenia ich są dobre i praktyczne, gdyż nieufność w skuteczność szlachetnych, a pokojowych celów, rozpościerająca się w społeczeństwach, to początek rozpaczy, a wszakże rozpacz to najbardziej wybuchowy materjał.



Z ALP.

(WRAŻENIA).

III.

Jungfrau

1.

Granitów srebrny zrąb w przewiewnych fioletach,
Na czole mając tkań, sprzędzoną z śniegów mlecznych,
Pnie się w niebieską głąb po mgieł sinawych grzbietach,
By symbol wiecznych trwań i prawd strzelistych, wiecznych.

Nie wstrząśnie żaden grom tą Jungfrau niebopienną,
Ni halny wichr, co bór za jednym tnie zamachem:
Zaledwie lodu złom gdzieś strąci w toń bezdenną,
Lub zwinne elfy gór, kozice, przejmie strachem.

Tak stoi wieków wiek ten prawd strzelistych, wiecznych
I wiecznych symbol trwań, choć w przepaść gdzieś bezdenną
Grom strąca lodu zwał, las ginie, giemza kona.

Przy szumie kaskad, rzek, w powodzi skier słonecznych
Tak przędzie sobie tkań, ze śniegów tkań promienną,
Milczących pani skał, ta Jungfrau niewzruszona.

2.

Wsłuchany w dźwięki dum, płynących z cierpień harfy,
Z pragnieniem wiecznych prawd, z wiecznego żądzą bytu,
Manfredów idzie tłum, gdzie Jungfrau z chmurnej szarfy
Śnieżysty przędzie haft na skroniach swego szczytu.

Stanęły u jej stóp prometejowe rzesze,
Z rozdartych leją łon ból świata i ból własny:
»Gotuje-li nam grób, czy z głazów swych wykrzesze
Niszczący wszelki skon żywota promień jasny?«

Tak płynie dźwiękiem harf, które wiecznego bytu
I wiecznych żądzą prawd Manfredów stroją rzesze,
Rozpaczny odgłos mąk, pijących krew im z łona.

A Jungfrau z chmurnych szarf na skroniach swego szczytu
Śnieżysty przędzie haft i mgławy włos swój czesze
Na nieb bezbrzeżny krąg i milczy, niewzruszona.

3.

Wiecznego trwania znak, wiecznego symbol życia
Zarzuca mgławy kask na promieniste oczy;
Kamienny ginie szlak śród śnieżnych chmur pokrycia,
Słoneczny gaśnie blask, co lśnił po grzbietach zboczy.

»Ledwie w połowie dróg! Za stadem giemz bez drżenia
Biegliśmy, a tu lód i mgły i wiew mogilny!
Kto zbawi, czart czy Bóg? O mocy Przeznaczenia!«
Tak-ci Manfredów ród w rozpaczy łka bezsilnej.

Zwolna się wieczny byt, znak wiecznych prawd z tej mroczy
Dobywa: chłodny blask skał nagość opromienia...
Wędrowców zginął ślad... Tam! nowe spieszą grona...

I strojna w śnieżny szczyt i w wieńcu śnieżnych zboczy,
Zrzuciwszy chmurny kask, z spokojem Przeznaczenia
W bezkresny patrzy świat ta Jungfrau niewzruszona...

Muerren — Wengernalp — 18., 19. lipca 1895.

IV.

NA LODOWCACH.

Towarzyszowi podróży,
dr. J. Czermakowi.

1.

Śniegu i lodu srebrzyste bezmiary,
Wśród nich, jak wyspy, straszne sterczą złomy;
Wyżej, niebieskich kryształów ogromy,
Rozpłomienionych słonecznemi żary.

Fioletowe zniknęły opary —
I wzrok nasz, cudów prabytu łakomy,
Ma tuż w nagości dziewiczej widomy
Znak bożej siły, źródło wielkiej wiary.

I z ciał tych naszych, zawisłych bezwładnie
Na opoczystych urwiskach, ulata
Duch, zachwycony, nad śnieżne przestworze —

Nad czarne szczyty, śmiejące się zdradnie
Obliczem z lodu, i klęka w pokorze
Gdzieś przed nieznaną praprzyczyną świata.

2.

Milczący szliśmy zamarzłym dunajem,
W skok przekraczając kotliny bezdenne,
Bramice śmierci dla człeka, promienne
Wrótnie żywota dla tych sił, co wzajem

Zwalczają siebie, wieczyste a plenne
W zmian nieskończoność. Nad tych lodów krajem,
Nad tą kuźnicą drzemią szczyty senne,
Ciche, błyszczące. I my senni stajem

Z dziwu i słuch nasz tężymy w tej ciszy
Głębie bezmierne. I patrz! duch nasz słyszy
Onego-ć Ducha, co miał moc, by w tumy,

Nieb sięgające, pospiętrzać opoki...
Strach!... Czy nie zerwą dziś się jego szumy,
By świat ten wkoło zwalić, strącić w mroki?!

3.

Z poza gór czarnych, z za śnieżnych przełęczy
Szum dolatuje: O lodów pokłady,
O skalne zręby łamią się kaskady,
A tam! — lawina głuchym hukiem jęczy.

Ach! szum ten duszę przygniata i męczy:
Nie zwykła ona chadzać temi ślady...
Lecz patrz! u stóp się macierzanka wdzięczy
W mchach, których głaźne nie pocięły grady.

A tu — rumianek naszych pól... I z drogi
Straszliwej grozy, przejmującej trwogi
Dusza na skrzydłach znużonych uchodzi

W kraj łąk i lasów rodzinnych. Lecz błogi
Sen rychło rzuca i wraz z Śmiercią brodzi
W kaskad, przepadlisk i lawin powodzi.

Na Wielkich Lodowcach Aletschu (Concordiahuette)
25 lipca 1895.

Jan Kasprowicz.

Najnowsze kierunki badań mitologicznych.

(Ciąg dalszy).

Inną drogę obrała szkoła antropologiczna, tłómacząca powstanie mytu i kultu z jednolitego uzdolnienia rodzaju ludzkiego. Początki tej szkoły doświadczalnej datują jeszcze od filozofji spekulacyjnej *(Schelling's Einleitung in die Philosophie der Mythologie* tudzież *Philosophie der Mythologie* 2 tomy). Duchowa jednorodność uzdolnienia ludzkiego nie ulegała żadnej wątpliwości także dla założycieli czasopisma: »Zeitschrift für Völkerpsychologie«, (Lazarus i Steinthal), którzy zaczęli stosować do mitologji porównawczej prawa psychologji, przeniesione z osobników na rozwój ludzkości, wychodząc ze stanowiska, że dziecię jest odbiciem człowieka pierwotnego; wykazują oni w tworzeniu wyobrażeń dziecka proces duchowy, który przebywali nasi przodkowie. »Ontogenia rzuca światło i w rozwoju świadomości na filogenią«. Zdanie to jest podstawą szkoły antropologicznej (Lubocka, Tylora, Langa) posługującej się przy badaniu mitologji metodą przyrodniczą, a grupującej analogie mitologiczne nie według historycznego związku, lecz podług osnowy mitycznej podobnie jak to czyni porównawcze przyrodoznawstwo, klasyfikujące zwierzęta, rośliny i kamienie według zaobserwowanych na nich samych znamion. Tak antropologja, jak nauki przyrodnicze wychodzą z założenia, że znamiona te występują zawsze w tem samem połączeniu: z ziarna jęczmienia wyrośnie jedynie źdźbło jęczmienne u nas, w Kalifornji, czy w Polinezji. Te same wyobrażenia mityczne muszą przybrać te same formy u wszystkich ludów, wszędzie bowiem buduje ta sama logika z tych samych pierwiastków tę samą budowę.

Szkoła Maxa Müllera *(Cox: Mythologie of the Aryan nations i M. Bréal Hercule études de mythologie comparée)*, uważa mit za funkcję mowy ludzkiej. Człowiek pierwotny mówił podo-

bnie, jak dziecko w porównaniach, ale przez to zjawisk przyrody wcale nieuosabiał, ani postaciował, jak powszechnie sądzą, albowiem nazywając grzmot gromowładcą, a ogień szybkonogim nie wyobrażał ich sobie wcale, jako istoty ludzkie z ramionami i nogami. Antropomorfizm przyrody jest tylko porównaniem, które coraz bardziej rozprowadzone, otrzymywało samoistne życie oderwane zupełnie od objawów przyrody, służących mu za punkt wyjścia. Każde porównanie stać się może mitem.

Na widok jutrzenki znikającej przy pojawianiu się słońca, tworzy się obraz uciekającej od płonącego, z czego wyłonił się mit o siostrze, unikającej natarczywości zakochanego w niej brata. Za materjał pierwotny mitów uważa Sayce (Anglik) raczej przedmioty pierwszej potrzeby ludów, a więc ogień, broń itd. ubóstwiane, jako fetysze; pogląd ten rozwinął w zasadach filologji porównawczej (tłómaczenie francuskie Josy'ego z 1884). Spencer utrzymuje, że pierwotne imiona ludzkie w rodzaju używanych dziś jeszcze u dzikich »czarna chmura«, »słońce« itp. brano z czasem za prawdziwą chmurę lub słońce i na tej drodze spokrewniono ludzi ze zjawiskami. Niedokładność mowy pierwotnej, przypisującej rozmaite czynności istotom nieżywotnym n. p. »piorun uderza«, »wicher jęczy« itp., przyczyniła się zdaniem jego, również do powstania podań mitycznych. Wychodząc z teorji animizmu Tylora tj. z zasady, że ludzie pierwotni wierzyli w pozagrobowe życie dusz swych przodków, łączy je z dawaniem imion takich, jak Słońce, Morze itp. i przychodzi do wniosku, że ludzie czcząc duchy przodków z początku pod temi imionami, zapomnieli z czasem o tem i zaczęli uważać za swoich przodków prawdziwe słońce, prawdziwe morze itp. Najżarliwszym zwolennikiem mitologicznej teorji Spencera, jest pomiędzy innymi Lippert.

Jakkolwiek uczeni ostatniej grupy różnią się w określaniu materji mitycznej szukając jej to w ruchu słońca, to w zaburzeniach atmosfery, to w przedmiotach pierwszych potrzeb ludzkich, to wreszcie w duszach przodków, wszyscy jednak przypisują zgodnie potężny wpływ mowy pierwotnej na wyobraźnię, wszyscy przyjmują za pewnik, że dawne »nomina« to późniejsze »numina«. Wszystkich możnaby więc nazwac wedle Maehlego (*Uber vergl. Mythologie* 1885), nomalistami w przeciwieństwie do szkoły antropologicznej, której adeptów realistami nazywa. Pierwsi przyjmując język jako źródło mitów twierdzą, że w rozwoju człowieka wytworzyła się najprzód mowa, a potem dopiero pod jej »mącącym« wpływem, wylęgły się dziwolągi podaniowe. Wiadomo jednak, że wyrazy powstawały jednocześnie z myślą, że zatem tak mowa jak i mity wyrosły na gruncie nie mniemanego zmącenia językowego, lecz na tle nadzwyczaj niskiego stanu umysłu ludów pierwotnych.

Szkoła antropologiczna, której przedstawicielem jest Tylor (*Researches intho the carly history* London 1865 i tegoż *Anfänge der Cultur* przekład Spengla i Poskiego Lipsk 1873 2 tomy), wyprowadza powstanie mitu nie z języka, lecz z właściwości ducha ludzkiego. W wyobrażeniu słońca jako wioślarza płynącego na swym czółnie po niebieskim oceanie, od rana do wieczora tkwi nie przenośnia tylko, ale rzeczywista wiara ludu, który stosownie do swej niskiej organizacji umysłowej, upodabniał do siebie całą przyrodą. Tym sposobem wyprowadzają antropologowie powstanie mitów wprost ze stanu umysłowego człowieka bez pośrednictwa języka. (Andrev Lang w dziele *Curtoni and myth* London 1885, 2-gie wydanie) widzi zasadniczą podstawę wszelkiej mitologji w obyczaju, a tłómaczy jej stronę iracjonalną, jak np. kazirodztwo, ludożerstwo, wilkołactwo, jako szczątkowy zanik epoki, w której podobne zdarzenia rzeczywiście miały miejsce.

Jako przykład posłużyć może podanie o Prometeuszu. Dzicy utrzymywali »wieczny« ogień z powodu trudności dobycia płomienia zapomocą tarcia. Skoro ogień wygasł pożyczano żarzącą głownię u sąsiadów, u nieprzyjaciół zaś wyrywano ogień gwałtem. Stan ten ma odbijać podanie o wykradzeniu ognia przez Prometeusza.

Jednostajność zaś podań tłómaczy się tem, że wobec równych stosunków bytowych u wszystkich ludów barbarzyńskich, musiały być podobnemi podania odźwierciadlające ich życie.

C. d. n. *Henryk Biegeleisen.*

Mniszka-chorąży

(La monja Alferez).

(Ciąg dalszy).

Skończył wreszcie pytaniem: »Koniec końców, czy wszystko to jest prawdą?« Tak, panie, odpowiedziałem.

— Proszę się nie dziwić, odrzekł, że przygoda tak rzadka może budzić nieufność. — Powiedziałem mu wówczas: »Panie, mówię prawdę i jeżeli zbadanie mnie przez matrony może wyprowadzić przewielebność Waszą z wątpliwości, — chętnie się mu poddam. »Zgadzam się na to, odrzekł, i cieszę się z tego«. Oddaliłem się, ponieważ była to godzina audjencji. W południe jadłem obiad, potem odpoczywałam trochę. Wieczorem o czwartej weszły dwie matrony. Zbadały mnie one, tak jak

chciały i oświadczyły przed biskupem, pod przysięgą, że mogą zapewnić uroczyście, iż jestem dziewicą, tak niepokalaną, jak w chwili urodzenia. Jego przewielebność biskup rozczulił się, pożegnał kumoszki i kazawszy mi się stawić w towarzystwie kapelana, ściskał mię czule i wstając tak się odezwał: »Córko moja, teraz wierzę we wszystko, co mi powiedziałaś i odtąd będę wierzył we wszystko, co mi powiesz; poważam cię jako jedną ze znacznych osób tego świata i obiecuję ci pomagać, o ile to jest w mojej mocy i zajmować się twojem dobrem w imię Boże«.

Wyznaczono mi przyzwoity apartament; zainstalowałem się tam wygodnie, przygotowując się do spowiedzi, której dopełniłam, jak mogłam najlepiej. Potem Jego przewielebność dał mi komunję.

Kiedy przygody moje stały się głośne, — zbiegowisko ciekawych było nadzwyczajne. Pomimo całej przykrości, jaką mi to sprawiło, również jak i naszemu *illustrissimowi*, niepodobna było odmówić wejścia osobom wpływowym.

Nareszcie, po dniach sześciu, jego przewielebność zadecydował, abym się udała do klasztoru Św. Klary w Guamanga. Jest to jedyny klasztor żeński w tem mieście. Przywdziałam habit. Biskup wyszedł ze swego pałacu, prowadząc mię przy swym boku, wśród tak gęstego tłumu, że chyba całe miasto być tam musiało, a my bardzo późno dopiero dostaliśmy się do klasztoru. Nakoniec dotarliśmy do głównej bramy. Trzeba było się wyrzec wejścia do kościoła, gdyż był przepełniony. Wszystkie siostry ze świecami zapalonemi, oczekiwały nas przy wejściu. Tam, przełożona i najstarsze ze zgromadzenia zobowiązały się osobnym aktem do uwolniania mię za każdą razą, jak sobie będzie życzył tego nasz biskup, lub jego zastępca. Jego przewielebność uścisnął mię, pobłogosławił i weszłam do klasztoru. Zaprowadzona procesjonalnie na chór, pomodliłam się tam, ucałowałam rękę matki przełożonej i pocałowawszy się ze wszystkiemi zakonnicami, zostałam zaprowadzoną do parlatorjum, gdzie czekał na mnie *illustrissimus*...

Wieść o tym wypadku rozniosła się wszędy. Wszyscy, którzy mię przedtem znali i ci w całych Indjach, co wiedzieli o moich przygodach dawniejszych i nowszych, dziwili się nadzwyczajnie.

W pięć miesięcy później w r. 1820 święty mój biskup umarł nagle. Strata to dla mnie była ogromna.

* * *

Zaraz po śmierci przewielebnego biskupa Guamanga'i, don Bartolomé Lobo Guerrero, arcybiskup metropolita Limy, (1606—1622.) posłał po mnie. Zakonnice rozstawały się ze mną z największą przykrością. Pojechałam w lektyce, eskortowana przez sześciu księży, czterech mnichów i sześciu ludzi zbrojnych.

Przybyliśmy do Limy, kiedy noc już zapadła; pomimo to jednak nie w stanie byliśmy prawie posuwać się naprzód, z powodu tłumu ciekawych, którzy chcieli widzieć Mniszkę-Chorążego. Wysadzono mnie przed pałacem arcybiskupa. Z największą trudnością tylko mogłam się do niego dostać. Ucałowałam rękę Jego *Signorii*, który uczęstował mię wyśmienicie i kazał mi przygotować nocleg. Nazajutrz rano zaprowadzono mię do pałacu dla zaprezentowania się wice-królowi, don Franciscowi de Borja, księciu d.Esquilache, który rządził prowincją Peru od 1615. do 1622. Tego samego dnia byłam u niego na obiedzie. Powróciłam na noc do arcybiskupa, gdzie mię oczekiwała dobra kolacja i dobre posłanie.

Następnego dnia Jego *Signoria* powiedział mi, żebym zobaczyła i wybrała sobie klasztor, w którym będzie mi się podobało zamieszkać. Prosiłam go o pozwolenie zwiedzenia wszystkich. Wchodziłam do każdego z nich i pozostawałam w nich przez trzy lub cztery dni. Nakoniec zdecydowałam się na dom Św. Trójcy, wielki klasztor, utrzymujący sto zakonnic z welonami czarnymi, pięćdziesiąt z welonami białymi, dziesięć nowicjuszek i sióstr służebnych, szesnaście służących. — Przebyłam w nim dwa lata i pięć miesięcy, dopóki nie przyszły z Hiszpanji dowody autentyczne, że nie składałam nigdy ostatecznych ślubów. Poczem udzielono mi prawa wystąpienia z klasztoru, ku powszechnemu żalowi mniszek, i wyruszyłam w drogę do Hiszpanji«.

Dojechawszy wreszcie wśród rozmaitych awantur do Kartaginy w roku 1624. i znalazłszy tam armadę, odpływającą do Hiszpanji, donna Catalina, pod swoim własnem już imieniem udała się na okręt główny. »Generał, powiada ona, przyjął mię bardzo grzecznie, utraktował, posadził przy swym stole i postępował ze mną w ten sposób jeszcze o paręset mil za kanałem Bahama. Ale pewnego pięknego poranku zdarzyło mi się, podczas kłótni karcianej, zadrasnąć kogoś w policzek nożem, który się znalazł pod ręką. Zaniepokojono się bardzo z tego powodu. Generał widział się zmuszonym przetranzlokować mię na statek admiralski, gdzie miałam swoich współziomków. Zmiana ta nie podobała mi się wcale, i prosiłam go o przesadzenie mię na okręt San Telmo, pod dowództwem kapitana Andrès de Oton. Generał przystał na to; ale przykro mi tam było, gdyż był to mały dziurawy stateczek i ledwieśmy na nim nie zatonęli.

Dzięki Bogu, przybyliśmy do Kadyksu pierwszego listopada 1624. Wylądowaliśmy i przez dni ośm zostawałam w tem mieście. Don Fadrique de Toledo, generał armady, bardzo był na mnie łaskaw. Miał on pod swymi rozkazami dwóch moich braci, których poznałam i zaprezentowałam mu. Od tego czasu awansowali oni szybko: jednego z nich wziął generał do swej osoby, drugiemu dał chorągiew«.

Dok. nast. *Rom. Baudouin de Courtenay.*

MARZYCIEL.

Obrazek z bruku warszawskiego

Przez

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Ciąg dalszy).

IV.

Lokator owego małego pokoiku, który ma tylko siedm kroków wzdłuż, a cztery na szerokość, siedzi przy stole, pogrążony w dumaniach. Na jego twarzy znać niepokój i zakłopotanie, z gorączkową niecierpliwością trze czoło, widać, że go coś gnębi, że jest podniecony.

Co chwila spogląda na drzwi, jakby spodziewał się kogoś.

Jakoś niedługo daje się słyszeć odgłos kroków na korytarzu, ktoś puka.

Pan Ignacy śpieszy otworzyć. Do pokoju wchodzi młody człowiek, krępy, rozrośnięty, barczysty, z ogorzałą twarzą, z dużemi wąsami i gęstą, szczotkowatą brodą.

— A bodajże cię! — rzecze, — jak ty możesz tak wysoko mieszkać? Kto te schody wymyślił niech z piekła nie wyjrzy!

— My przyzwyczajeni jesteśmy.

— Winszuję, ale nie zazdroszczę i sam nie przyzwyczaję się nigdy, ani do schodów, ani do tej kochanej warszawki. Ciebie Ignasiu bardzo kocham, lecz nie przyszedłbym tu za żadne skarby w świecie, gdyby nie mus. Basia kazała cię zaprosić na herbatę i trudno, rad nie rad, musiałem się windować po stu schodach na górę! To mnie tylko pociesza, że zejście nie będzie już tak fatygujące.

— O niezawodnie. Usiądź-że Michale, odpocznij, bo w rzeczy samej widzę, że jesteś zmęczony.

— Ano, bezwątpienia, że usiądę - odrzekł, zdejmując palto. — Jak żyję nie siedziałem tak wysoko. Wrona może ci pozazdrościć takiego gniazda. Cała pociecha, że już nie długo chyba siedzieć będziesz na tych wysokościach, ty bałamucie warszawski.

Rzekłszy to, roześmiał się, ukazując duże, zdrowe zęby...

— Zkądżeż mi taki tytuł dajesz?

— Co tu w bawełnę owijać, mój kochany, zbałamuciłeś mi kochaną siostrunię, zakochała się w tobie po same uszy i chce być panią Ignacową. Ja i owszem, nie mam nic przeciwko temu, wolę mieć siostrę zamężną, aniżeli wdowę, wolę mieć szwagrem ciebie, aniżeli jakiegoś obcego. My to jako koledzy od szkolnej ławki, znamy się doskonale. Wiem żeś chłop porządny, nie utracjusz, i że z każdego grosza zrobisz trzy.

— Pochlebiasz mi.

— Nie, mówię szczerze, bo ja człowiek jestem prosty i obłudy nienawidzę. Kiedym się już tu windował i usiadł, skorzystam z tego, że jesteśmy sami, chcę się stanowczo rozmówić. Blbo tak, albo tak. Jasno, nie błądząc po omacku. Chcesz słuchać?

— Ależ proszę cię, mów.

— Przedewszystkiem, czy nie masz tu czego do picia, zmęczyłem się, w gardle mi zaschło, przeklęte schody!

— Może być zaraz herbata.

— Phi... dobry to napój dla chorych, a ja, jak widzisz, zdrów jestem.

— Mogę w tej chwili posłać do miasta po co chcesz, a mam tu w szafie cognac.

— To dobrze, herbata, cognac, no niech tam, na bezrybiu i rak ryba. Dawaj!

Pan Ignacy zaczął przyrządzać herbatę na maszynce, gość gawędził dalej.

— Po jakiemu wy tu żyjecie! Nawet porządnego ognia nie macie. Jakaś benzyna, czy ki licho? U nas to inaczej; naręcze drzewa na komin, buzuje się jak sto djabłów, trzeszczy, pryska, człowiek wie przynajmniej, że ma przed sobą ogień, a to co? Świeci się jak łojówka u żyda na szabas. Nie! Szczęśliwy jestem, że na wsi siedzę i mam nadzieję, że siedzieć będę do śmierci. No zresztą niech tam, Basia naprzykład lubi miasto i będzie uszczęśliwiona, mieszkając w Warszawie. Cóż ty na to Ignasiu.

— Ja widzisz, rzeczywiście... nie wiem jak to powiedzieć.

— Nie jesteś zdecydowany. Bardzo słusznie. Bez namysłu nic się nie powinno postanawiać i przedewszystkiem karty na stół. Ja bo widzisz taki już jestem, jasno, krótko i węzłowato. Wóz i przewóz, starosta albo kapucyn. Słuchajże i wiedz co się dzieje. Pierwsza rzecz, podobałeś się Basi, a ona podobała się tobie, bo jużci nie zaprzeczysz, że ci się podobała. W szczęśliwą godzinę spotkaliśmy się, i tak jakoś odrazu przypadliście sobie do gustu. A gust masz, Basia nie jest modna Warszawianka, to prawda, ale za to zdrowa jak krzemień, doktor od niej trzech groszy jeszcze nie zarobił. Piękna kobieta, może nie?

— O tak... tak... bardzo nawet...

— Więc krótko i węzłowato, przystąpmy do rzeczy, Basia liczy sobie lat... nie wiem zresztą ile ona sama sobie liczy, bo kobieca arytmetyka rozmaita bywa, ale fakt jest, że na świętą Barbarę trzydzieści sześć, jak obszył.

— Nie wygląda na tyle.

— Już to widzisz ród taki, starsza jest ona odemnie. Temperament ognisty, charakter niezgorszy, ma ona swoje fanaberje, ale od tego mąż, żeby je trzymał na wodzy. To już jego rzecz. Za pierwszym mężem była Basieńka dwanaście lat, wdową jest od lat czterech. Małżeństwo było bezdzietne, co właśnie dobrze się zdarzyło, jak w tym razie. Teraz, kochany Ignasiu, tak. Kładźmy

karty na stół. Po pierwszym mężu ma Basia dziesięć tysięcy w listach zastawnych, to jest jej własne, żadna familja prawa do tego nie ma. Procesowali, ale przerżnęli we wszystkich instancjach i poszli spać. Dalej, ten folwark, w którym ja gospodaruję, Kopciówka, w trzeciej części należy do Basi i ex re tego ma ona zahypotekowane u mnie piętnaście tysięcy, jak drut; płacę regularnie sześć procent, ale że mi się to cokolwiek przykrzy, więc połowę mogę oddać za rok, a drugą połowę za trzy lata. O ruchomościach, biżuterjach i różnych fatałaszkach, nie ma co mówić. Jest tego moc.

Na twarzy pana Ignacego ukazał się mocny rumieniec, pan Michał zaś dodał do swej szklanki porządną dozę koniaku i tak kończył.

— Oto cała sytuacja; jak ci się podoba, to dziś pucnij Basię w rączkę i właź pod pantofel, jak nie to nie, wola twoja. Ja sobie tylko dwie rzeczy zastrzegam: primo, intercyza, sekundo, nie marudzić. Pieniężnych interesów, żebyście nawet kochali się jak kanarki, bez aktu i bez regenta robić nie dam, a że wesele wyprawi się u nas, to jest u mnie w domu, więc radbym jak najprędzej to załatwić, bo rozumiesz przecie, że jest to piekło w domu niemałe i urwanie głowy, a ja lubię spokój. Szczęśliwy będę, jak się wszystko skończy, państwo młodzi odjadą, a ja z wolną głową zabiorę się do swoich gospodarskich interesów, bo człowiek powinien pilnować tego przedewszystkiem z czego chleb je, a ja muszę tej zimy dwie partje wołów opasowych do Warszawy dostarczyć. No Ignasiu, cóż ty na to... Szwagrowieśmy, czy tylko jak dawniej, koledzy?

Pan Ignacy wyciągnął rękę do swego gościa, ten pochwycił go w objęcia, uścisnął, jak w kleszczach, wycałował i rzekł:

— Tak to lubię... dziś się Basi oświadcz, a jutro bierz urlop i jedziemy wszyscy do Kopciówki. Tam będziecie sobie gruchali, jak dwa gołąbki, a moja magnifika postara się o to, żebyś nie schudł przez ten czas. Tylko słuchaj Ignasiu.

— Czy jaki warunek?

— Nie rada. Trzymaj się ostro, uszy do góry, bo Basia, to nie warszawska laleczka, to kobieta! Nieboszczyk, twój poprzednik, świeć panie nad jego duszą, mógłby coś o tem powiedzieć.

. . . .

Jesienne słońce posyłało szarej, ogołoconej już prawie ze wszelkiej zieloności, ziemi ostatnie pocałunki przed zimą.

Dzień był wyjątkowo ładny i ciepły, wiatr łagodny kołysał bezlistne gałązki drzew i unosił nici białej, jedwabnej przędzy »babiego lata«.

W ogrodzie przytykającym do dworu w Kopciówce, po szerokiej alei grabowej, zasłanej, niby dywanem, grubą warstwą liści opadłych, prowadząc się pod rękę, szedł pan Ignacy z narzeczoną. Była to kobieta tęga, silna, dobrze zbudowana; nie przesadził brat jej, pan Michał, mówiąc, że jest zdrowa jak krzemień. Rysy twarzy miała dość pospolite, ale przyjemne, na ustach uśmiech zadowolenia.

Wpatrywała się w swego towarzysza, oparta na jego ramieniu i z zadowoleniem widocznem, słuchała co mówił.

— Za tydzień — szeptał, — za tydzień więc, będziemy u siebie. Jak to słodko brzmi »u siebie«, »u nas«.

— Za tydzień, tak. Ja, chociaż na wsi urodzona i wychowana, nie lubię prowincji, i szczęśliwa jestem, że dalsze życie moje upływać będzie w dużem mieście. Pod tym względem, nasze gusta są zgodne.

— Sądzę, że i pod innemi również będą zgodne.

— Tak pan myśli.

— Naturalnie, jakżeby inaczej być mogło.

— Czasem.

— A nie, jeżeli się kocha.

— Czy miłość jest trwała?

— Wieczna — szepnął, całując jej rękę.

Uśmiechnęła się i spojrzała na niego tak, jak gdyby chciała powiedzieć:

— Będziesz się miał zpyszna jeżeli kłamiesz.

— Wieczna, wieczna — powtarzał, — taka jak dziś, będzie i jutro i za rok, i za dziesięć.

— Nie zapominaj, kochany panie Ignacy, że ja jestem wdowa.

— Więc cóż ztąd?

— Więc już słyszałam wyznanie miłości i wiem co to warto.

— O! nie chcę ubliżać pamięci mego szczęśliwego poprzednika, ale jak nie ma dwóch jednakowych liści na drzewie, tak też nie ma i dwóch ludzi jednakich.

— Tak pan myśli?

— Bezwątpienia. To jest pewnik, fakt nawet przez naukę stwierdzony.

— A zatem, z tego pewnika wypływa, że ja, probująca szczęścia w małżeństwie po raz drugi, mogę trafić, albo na lepszego towarzysza, albo na gorszego.

— Dlaczego na gorszego?

— Bo jak pan mówisz, dwóch jednakowych nie ma.

— Ja miałbym być gorszym, ja który obecnie czuję się tak szczęśliwym, tak szczęśliwym, że wypowiedzieć tego nie umiem.

— Czy istotnie tak? — zapytała z uśmiechem.

— Tak, jak może szczęśliwym być człowiek, któremu się najpiękniejszy sen wyśni, jak marzyciel widzący spełnienie swych pragnień.

— Jesteś pan marzyciel? Ja bardzo lubię marzycieli.

— Marzyciel... zawsze marzyciel... prawie od dziecka, umysł mój marzeniami był zajęty.

— Może pan poeta... nie tworzyłeś nigdy wierszy, panie Ignacy?

— Co prawda, nie. Marzyłem dla siebie, nie widząc potrzeby wtajemniczania obcych.

— A gdybym ja chciała poznać pańskie marzenia?

— To co innego. Pani wiesz, że obcą dla mnie nie jesteś.

— A czybyś pan wyznał mi wszystkie.

— Oczywiście.

— Bez wyjątku?

— Bez najmniejszego.

— Ej, panie Ignacy, ostrożnie, bo gdyby mi tak przyszła ochota zajrzeć w głąb pańskiej duszy, a przecież jak pan powiadasz, jest to niby moja dusza, ta pańska dusza i to podobno na zawsze.

— Podobno! Ależ bez najmniejszej wątpliwości; nie mam dla pani nic ukrytego, żadnych tajemnic.

— A więc — rzekła opierając się mocniej na jego ramieniu, — więc marzycielu kochany, mów, spowiadaj się ze wszystkich tajemnic twej duszy. Słuchać będę chętnie i sądzić pobłażliwie, ale uprzedzam, że odnosi się to tylko do pewnego terminu.

— Terminu?

— Pamiętasz pan dzień trzydziesty Września?...

— Miałbym zapomnieć o najpiękniejszej dacie w mojem życiu?

— Zapisz ją pan sobie dobrze w pamięci, w kalendarzu, na ścianie, gdzie chcesz, bo ona ważną rolę w naszych stosunkach grać będzie.

— Ja sądzę...

— Wytłómaczę jasno. Do tego dnia byłeś panie Ignacy, zupełnie wolny i niezależny, mogłeś myśleć, działać, postępować, jak sam chciałeś, jak ci się tylko podobało i ja nie mogę mieć pretensji o to, ale od trzydziestego Września już do siebie nie należysz, jesteś mój i mam wszelkie prawo poddać cię kontroli.

— Nie mam nic przeciwko temu, owszem.

— Choćbyś nawet miał, to mi wszystko jedno; ja się praw swoich łatwo nie wyrzeknę, przeciwnie, bronić ich będę wszelkiemi siłami, ale to kwestja przyszłości, o czem innem mówiliśmy, mój przyszły mężu i panie — dodała z lekkiem odcieniem ironji, — mówiliśmy o twoich marzeniach, miałeś mi je dać poznać; więc mów, chcę poznać całe twoje życie od dzieciństwa... słucham... Jakżeż te marzenia snuły się?

— A no, od dzieciństwa, to rozmaicie. Rodzice moi byli niezamożni, nieraz bieda zaglądała do domu, matka oszczędzała, a ojciec pracował, częstokroć na kolację trzeba było jeść chleb suchy.

(C. d. n.).

Rozbiory i sprawozdania.

»Biblioteka Powszechna«. Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie. Tomiki 151 do 156 i 159 do 160.

Nie jest łatwem wydawanie dwunastocentowej bibljoteczki w ogóle, a tem mniej u nas. Bo jeżeli w Niemczech np. można sobie z góry nakreślić program i wydawać systematycznie arcydzieła własne i obce, gdyż wobec olbrzymiej liczby czytelników jest się pewnym, iż nakład się rozejdzie, u nas oprócz tego zadania jeszcze także trzeba lawirować pomiędzy sprzecznymi nieraz gustami nielicznej zresztą publiczności czytającej, aby zarazem i zadość uczynić literackim względom i nie narazić na szwank finansowy przedsiębiorstwa dobrego i pożytecznego. O tem trzeba pamiętać zawsze przy ocenianiu Bibiioteczki, wydawanej w Złoczowie i wobec tych względów, niejedna z wrzekomych wad okaże się koniecznością. Taką koniecznością jest np. mozajkowa rozmaitość w doborze drukowanych dziełek, aby o ile możności odpowiedzieć wymaganiom wszystkich. A że »Bibljoteka powszechna« jakoś pomyślnie wywiązuje się z tej trudności, dowodzi fakt, iż dosięgła już cyfry 160 tomików. Najnowsze z nich wymienione w nagłówku zawierają: Maurycego Jokaja »Dziwne historje«, pięć nowel o nastroju fantastycznym, przypominającym nieco słynne utwory amerykańskiego poety Edgara Poe'go, znany i u nas ze sceny »Świat nudów«, 3 aktową komedję E. Paillerona w przekładzie J. K. Zielińskiego, trzecie wydanie »Legend« ks. Ignacego Hołowińskiego, jednego z szeregowców romantyzmu, »Grażynę« Mickiewicza, tak, że to arcydzieło będzie można obecnie dostać za 12 ct., i wreszcie Tomik II. »Kościuszkowskich czasów«, szkiców i obrazków Stanisława Schnür-Pepłowskiego, historyka o zakroju publicystycznym, rozwijającego w ostatnich zwłaszcza czasach istotnie niezwykłą płodność.

Zapewne, że niejedno jeszcze pozostaje, co »Bibljoteka powszechna« wydrukować powinna, ale na wszystko z czasem przyjdzie kolej, boć przecie spodziewać się wypada, że »Bibljoteka« jak przekroczyła obecnie półtora setki tomików, tak zapewne rychło przekroczy tysiąc, a wtedy już chyba o »brakach i łukach« nie będzie wiele do powiedzenia.

PRO MEMORIA.

26. sierpnia 1792. Zgromadzenie narodowe francuskie osobno wydanym dekretem nadało obywatolstwo honorowe Kościuszce. jako szermierzowi wolności i niepodległości narodów.

26. sierpnia 1863. Taczanowski, dowódzca powstańców, rozbił doszczętnie oddział moskiewski.

30. sierpnia 1794. Wojsko polskie uczyniło z oblężonej od dwóch miesięcy Warszawy wycieczkę na obóz pruski, a uczyniwszy w nim sporo spustoszenia i zamięszania, wróciło szczęśliwie do miasta.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.